

# Mieczysław Kosz

## Życie jest dramatyczną przygodą

Marek Romański

10 lutego minęła 66. rocznica urodzin Mieczysława Kosza – genialnego niewidomego pianisty. O ile na scenie czuł się spełniony, otoczony uwielbieniem publiczności i krytyki, o tyle w życiu osobistym pozostał człowiekiem głęboko nieszczęśliwym.

Ociemniałość, samotność i poczucie bycia wykorzystywanym przez wyrachowanych pseudo-przyjaciół, wreszcie poczucie bezsilności i depresja doprowadziły go do alkoholizmu i ostatecznie tragicznej śmierci, w której wielu widzi znamiona samobójstwa.

Pianistka Kosza rodziła się z kilku głównych źródeł – pierwszym była gruntowna edukacja klasyczna. Mimo że zawsze był utożsamiany z jazzem i ostatecznie właśnie ta muzyka stała się podstawową formą jego wypowiedzi, to wielkim uczuciem darzył także muzykę Bacha oraz romantyków – Liszta i Chopina. W dramatycznych napięciach jego kompozycji nietrudno też odnaleźć wpływy Beethovena.

Dzięki tym inspiracjom, które potrafił wtopić w tkankę jazzowej improwizacji, porównywano go do amerykańskiego pianisty Billa Evansa. To jednak trochę nieadekwatne. W muzyce Kosza zdecydowanie bowiem rzadziej można było usłyszeć impresjonistyczne skale całotonowe, których często używał Evans. W twórczości naszego pianisty znalazło się także miejsce dla free jazzu (niezwykle oryginalnego, utrzymanego w żelaznych ramach). Poza wszystkim Kosz był nieodrodnym dzieckiem polskiej tradycji i eksponentem słowiańskiej mentalności. Jeśli już szukać porównań, to bliżej mu do Krzysztofa Komedy niż

do któregośkolwiek z amerykańskich jazzmanów.

Dziś trudno zrozumieć fenomen Mieczysława Kosza. W pamięci starszych miłośników jazzu i osób zawodowo związanych z tą muzyką pozostaje postacią nieomal mityczną. Wywodzący się z głębokiej prowincji, obciążony niepełnosprawnością artysta potrafił rozwinąć oryginalny język muzyczny w czasach, gdy kontakt z głównym nurtem światowego jazzu był w Polsce bardzo ograniczony. Jego gra odbiła się echem także w Europie. Był zapraszany na koncerty nawet na tak prestiżowych imprezach, jak festiwal w Montreux (gdzie wystąpił zresztą również wspomniany Bill Evans). A przecież za jego życia ukazała się tylko jedna autorska płyta długogrająca! Jego pianistykę można jeszcze usłyszeć na składance „New Faces in Polish Jazz”, a także jako akompaniament na krążku wokalistki Marianny Wróblewskiej. I to wszystko! W dzisiejszych czasach, gdy dorobek fonograficzny jest podstawą istnienia artysty w świadomości mediów i słucha-



czy, to nie do pomysłenia. Jednak wtedy, na przełomie lat 60. i 70., kiedy Kosz rozpoczął karierę, było inaczej.

Jego pozycja opierała się na niesamowitej charyzmie koncertowej, a występy były rodzajem misterium, nieustannym zmaganiem się z formą. Tomasz Stańko powiedział, że jego muzyka to „czekanie na piękno”. Sam Kosz twierdził, że „tylko smutek jest piękny”. Jakkolwiek by tego nie interpretować, faktem jest, że kiedy siadał przy fortepianie, z jego horyzontu zniknęła publiczność oraz jakiegokolwiek punkty odniesienia. Pozostawał sam z muzyką, która go wypełniała i szukała dróg ujęcia. Czasem był to proces na granicy bólu. Dlatego obce mu były jakiegokolwiek

efekciarskie sztuczki. Technika nigdy nie stanowiła celu, ani nawet narzędzia czytelowania tematów. On zawsze dążył do wyrzucenia z siebie uczuć i emocji, a mógł to uczynić jedynie za pomocą muzyki.

Charakterystyczne dla jego gry było przedstawianie urody melodycznej utworów w sposób zawołowany, tak jakby chciał dać do zrozumienia, że piękny temat jest jedynie powierzchnią rzeczy; czymś, co przysłania istotę muzyki, zawartą w kłębiących się emocjach. Bo on – Mieczysław Kosz – jest właśnie w nich zawarty, a melodia (często napisana przez kogoś innego) to jedynie pretekst i wehikuł prawdziwego przekazu.



Kosz urodził się w 1944 roku we wsi Antoniówka koło Tomaszowa Lubelskiego. Bardzo wcześnie ujawniła się u niego choroba (zaćma lub jaskra), która - gdy miał 12 lat - doprowadziła do całkowitej ślepoty. Dzieciństwo było dla niego bardzo ciężkim czasem. Wychowywał się w rodzinie wielodzietnej; kilkanaście osób żyło w niewielkim mieszkaniu. Był jedynym dzieckiem z drugiego małżeństwa swego ojca, Stanisława. Być może z tego powodu ojciec traktował go źle, niemal jak zagrożenie dla istnienia rodziny. Na szczęście Mieczysław zawsze mógł liczyć na miłość matki. Jej też zawdzięcza pierwsze kontakty z muzyką. Miała piękny głos i śpiewała mu ludowe piosenki, a czasem zabierała na festyny i potańcówki.

I to ona, przy pomocy miejscowego proboszcza, umieściła małego Mietka w przedszkolu dla niewidomych dzieci w podwarszawskich Laskach. W wieku

7 lat objął go obowiązek szkolny. Chłopiec zaczął uczęszczać do szkoły dla niewidomych, ale wychowawcy w internacie szybko zauważyli jego talent muzyczny. Potrafił godzinami wygrywać rozmaite melodie na harmonijce ustnej. Już w następnym roku stanął przed obliczem krakowskiej komisji egzaminacyjnej, która miała zadecydować o przyjęciu go do podstawowej szkoły muzycznej dla ociemniałych dzieci. Komisja, pod przewodnictwem prof. Webera, sprawdziła jego słuch i poczucie rytmu i, rzecz jasna, bez problemów przyjęła w poczet uczniów.

Kosz trafił do klasy fortepianu prof. Romany Witeszczakowej. To był praw-

dziwy łut szczęścia. Zajęła się nim znakomita pedagog, która nie tylko przekazała mu solidną wiedzę muzyczną i szlifowała technikę gry, ale zawsze miała dla niego wiele serca i cierpliwości. Pozostała też bliską osobą do końca życia pianisty.

Mimo że edukacja w szkole muzycznej ograniczała się niemal wyłącznie do klasyki, Mieczysław Kosz już wtedy zdradzał niepośledni talent improwizacyjny i zainteresowanie jazzem. Nic zatem dziwnego, że nie miał problemu z zatrudnieniem po zakończeniu nauki w szkole średniej. Jego „miejscami pracy” były m.in.: kawiarnia „Literacka”, klub studencki „Pod Jaszczurami” oraz słynny ongiś krakowski „Helikon”. W latach 1956-1969 było to jedno z najważniejszych miejsc na jazzowej mapie Polski. Tam grywali Adam Makowicz, Krzysztof Komeda i Zbigniew Seifert. W tym miejscu muzyczne inicjacje przechodził Tomasz Stańko.

Gra w „Helikonie” nie była może zbyt dobrze płatna, ale oferowała rzeczy bezcenne – znajomości i renomę w środowisku. Dzięki temu już po roku nasz bohater mógł wyjechać do Zakopanego, gdzie nie brakowało lokali i wypłacalnej klienteli. Kosz był już wtedy znakomitym, charyzmatycznym pianistą. Wkrótce stał się zakopiańską sławą. Lokale starały się wszelkimi sposobami skłonić go do występów, bo to gwarantowało pełne sale i rosnące zyski. Wkrótce, na zaproszenie Polskiej Federacji Jazzowej, przyjechał do Warszawy. Teraz nic już nie stało na przeszkodzie, by zaczął odnosić sukcesy - najpierw na scenach polskich, a wreszcie zagranicznych. Był równie świetnym autorem solowych recitali, jak i liderem zespołów, w których grywali m.in. Bronisław Suchanek, Janusz Kozłowski (kontrabas), Janusz Stefański, Czesław Bartkowski, Wiktor Perelmutter (perkusja). Wspierał wreszcie wspomnianą już wokalistkę Marianę Wróblewską.

W 1967 roku wystąpił na najważniejszym polskim festiwalu jazzowym – Jazz Jamboree. Wzbudził wówczas powszechny entuzjazm. Niemal z dnia na dzień obwołano go jednym z największych i najoryginalniejszych talentów w polskiej muzyce.

Ten sukces stał się niejako przepustką do kariery międzynarodowej. Kosz występował w wielu krajach Europy, zagrał także w Kanadzie.

Jedyna wydana za życia artysty płyta długogrająca - „Reminiscence” - została nagrana w marcu 1971 roku. W czterech utworach towarzyszą mu Bronisław



Suchanek i Janusz Stefański; pozostałe trzy zarejestrował solo.

Ten krążek to muzyczna wizytówka Kosza. Znalazły się na nim aż cztery interpretacje utworów od jazzu odległych. Pierwsze trzy to parafrazy „Tańców połowieckich” Borodina, preludium c-moll Chopina i „Marzenia miłosnego” Liszta. Są one tak przetworzone, że właściwie można tu mówić o oryginalnych kompozycjach opartych jedynie na kanwie pierwowzorów. Wszędzie pojawia się swingowy drive – raz w klasycznej postaci (ulubione przez pianistę „Tańce połowieckie”), innym razem w formie ragtime’owej motoryki („Marzenie miłosne”). Czwartą parafrazą jest „Yesterday” Beatlesów, z którego pianista zrobił małe arcydziełko, pełne nieprzeczuwanego dotąd bogactwa nastrojów i dramatyzmu. Wybór tego ostatniego tematu wskazuje, że nieobca mu była także muzyka popularna; w jego rękach zmieniała jednak swą postać i traciła wyjściową lekkość i błahość, stając się pożywką znacznie głębszej i bogatszej sztuki.

Druga część albumu (oryginalnie strona B wydania winylowego) zawiera dwie kompozycje autorskie Kosza

(„Wspomnienie” i „For You”) oraz jedną kontrabasisty Suchanka („Spełnienie”). Słychać w nich wyprawy w świat free jazzu. Wyprawy bardzo specyficzne, bo przy rozluźnieniu rygorów rytmicznych pianista pozostaje w systemie tonalnym. Free jazz nie jest dla niego sposobem na epatowanie słuchacza elokwencją improwizatorską, ale raczej jeszcze jednym środkiem służącym przekazaniu burzy emocjonalnej, jaka targała duszą muzyka.

Niestety, o ile z materiają muzyczną Mieczysław Kosz radził sobie doskonale, o tyle w życiu był osobą bezradną i zdaną na opiekę innych. Jego nieszczęściem był brak w najbliższym otoczeniu ludzi lojalnych i darzących go uczuciem. Prowadziło to do poczucia samotności, zagrożenia, wreszcie depresji. Jego wysokie zarobki przyciągały oszustów. Na życiowe niepowodzenia reagował w jedyny dostępny mu sposób – alkoholizmem i stopniowym zamykaniem się w sobie.

W nocy 31 maja 1973 roku wyskoczył przez okno swojego mieszkania w Warszawie przy Piękną 10. Najprawdopodobniej był pod wpływem alkoholu. Oficjalnie uznano to za tragiczny wypadek, ale większość środowiska

i fanów uważała, że Kosz popełnił samobójstwo. Prawdy nie poznamy nigdy. Zachowała się relacja sąsiada, który widząc, jak Kosz przekłada nogę przez parapet, zaczął krzyczeć, że biegnie z pomocą i żeby się nie ruszał. Ale pianista nie zareagował.

W jednym z wywiadów, pytany o upodobania muzyczne, stwierdził: „Ja naprawdę lubię muzykę, ale najbardziej cenię taką, która przygnębia, wypycha mnie w siebie, sprawia, że czuję, że życie jest dramatyczną przygodą do samego końca”.

Mieczysław Kosz został pochowany na cmentarzu w Tarnawatce w województwie lubelskim. Niestety, jego postać powoli odchodzi w zapomnienie, mimo że jego imieniem nazwano klub jazzowy w Zamościu, festiwal pianistów jazzowych w Kaliszu, a zespół RGG Trio poświęcił mu płytę „Unfinished Story – Remembering Kosz”.

Najbogatszym źródłem informacji o artyście jest biografia Krzysztofa Karpińskiego „Tylko smutek jest piękny” (Unipress Lublin, 1990). W 2007 roku Robert Kaczmarek zrealizował film „Esencja nastroju” opowiadający o tragicznych losach Mieczysława Kosza. ■

Leszek HeFi Wiśniowski  
**KINETYKA**

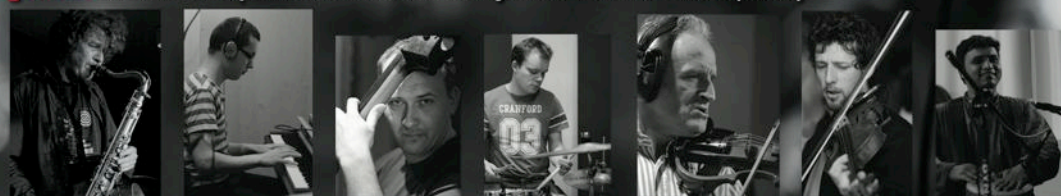


HeFi Quartet

special guest  
Krzesimir Dębski

Leszek HeFi Wiśniowski  
**NOWA PŁYTA**  
w sklepach od **LUTEGO**

**HeFi Quartet:** Leszek HeFi Wiśniowski / Paweł Kaczmarczyk / Tomasz Kupiec / Bartek Staromiejski  
**guests:** Krzesimir Dębski / Dominik Bieńczycki / Pramath Kiran (Indie)



[www.hefi.pl](http://www.hefi.pl)

Partner:



Wydawca:



Patroni medialni:

